Rok II. Luty No. 12.

POCHODNIA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ARTYKUŁOM POPULARNO-NAUKOWYM RÓŻNEJ TREŚCI OBCHODZĄCEJ KAŻDEGO CZŁOWIEKA. WYCHODZI W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRENUMERATA WYNOSI $1.00 ROCZNIE, 50c. POŁR. Z GÓRY. NUMER POJEDYŃCZY 10c. LISTY I PRZEKAZY ADRESOWAĆ: „POCHODNIA", 627 MILWAUKEE AVE., CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM "DZIENNIKA LUDOWEGO", 627 MILWAUKEE AVENUE, CHICAGO, ILLINOIS.

No. 12. Luty Rok I.

„POCHODNIA"

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ARTYKUŁOM POPULARNO-NAUKOWYM RÓŻNEJ TREŚCI OBCHODZĄCEJ KAŻDEGO CZŁOWIEKA. WYCHODZI W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA : : : : : :

Prenumerata wynosi $1.00 rocznie, płac półr. z góry. Numer pojedynczy 10c
Listy i przekazy adresować: „POCHODNIA" 627 Milwaukee Ave., Chicago, Ill.

W. Władymirow.

WYKRADZENIE WIĘŹNIÓW Z PAWIAKA.

V. W kancelarji więzienia.

W tym czasie baron Budberg wszedł do kancelarji więziennej, podał rękę dyżurującemu pomocnikowi naczelnika więzienia, Maciulewiczowi, wręczył mu adresowany na imię naczelnika więzienia, zapieczętowany pakiet ze stemplem kancelarji warszawskiego oberpolicmajstra, opatrzony kolejnym numerem dziennika ekspedycji, z pieczęcią lakową oberpolicmajstra.

Adres na kopercie napisany był na maszynie piszącej.

Wręczając ten pakiet, baron Budberg zapytał Maciulewicza:

— Czy wszystko gotowe do wyprawienia więźniów politycznych?

— Najmocniej proszę o wybaczenie—odparł tonem pokornego służbisty—pan rotmistrz będzie musiał chwilę zaczekać; jeszcze nie wszystkie papiery przygotowane. Niech pan będzie łaskaw spocząć.

Baron rozgniewał się na tę zwłokę i tonem zwierzchnika powiedział:

— Przecież pana uprzedził oberpolicmajster, by na

chwilę mego przyjazdu było wszystko gotowe. Dlaczegoż ta zwłoka? Czy zapomniałeś pan, jak trzeba wypełniać rozporządzenia władzy?

— Proszę o wybaczenie, panie rotmistrzu, upewniam jednak, żem nie zawinił... skoro otrzymałem telefoniczny rozkaz jego ekscelencji, natychmiast siadłem do biurka przygotować papiery. Pan zabiera odrazu tak wielu aresztantów, żę nie miałem możności wypełnić wszystkich formalności kancelaryjnych w ciągu jakiejś pół godziny — pozostało mi tylko kilka papierów.

Śpiesz się pan, żebym długo nie czekał i wydaj rozporządzenie wyprowadzenia aresztantów — łagodniej już powiedział Budberg.

Maciulewicz śpiesznie wydał rozkaz kilku dozorcom, sam zaś wziął się do pisania i jak służbista, surowo zmonitowany przez zwierzchnika, utonął cały w papierach kancelaryjnych, obawiając się wywołać gniew rotmistrza.

I tak dalece zagłębił się w pracy, tak śpieszył naprawiać służbowe uchybienie, za które natarto mu uszów,że nie zwracał już na nic uwagi i nie wdawał się w żadne rozmowy.

A o to właśnie chodziło rotmistrzowi Budbergowi.

Usiadł on swobodnie przy stole naprzeciwko Maciulewicza, powoli wydobył papierośnicę z bocznej kieszeni i zapałki, zapalił papierosa, poczym nader uważnie rozejrzał się w około, zapamiętal rozkład drzwi, miejsce, gdzie znajdował się telefon miejski, wewnętrzna sygnalizacja i dzwonki.

Kancelarja mieściła się w niewielkim względnie pokoju, zastawionym wszędzie stołami, z brudną podłogą.

Baron Budberg oczekiwał spokojnie, nie okazując najmniejszego wzruszenia, lecz jednocześnie bacznie śledził każdy ruch Maciulewicza, szczególnie zaś wyraz jego twarzy.

Gdy Maciulewicz wziął do ręki otrzymany przez rotmistrza pakiet, obrócił go w ręku, popatrzył na pieczęć i wreszcie otworzył, baron skupił na nim całą uwagę, usiłując z wyrazu twarzy jego wyczytać, czy w odezwie nie znalazła się jaka pomyłka, czy zachowane w niej zostały ściśle i wiernie wszystkie subtelności kancelaryjne, czy nie nasunie mu się myśl, że wszystko to jest mistyfikacją.

W nagłówku odezwy był litografowany stempel warszawskiego oberpolicmajstra z kolejnym numerem ekspedycji; cała jej treść drukowana była na maszynie, następnie szły podpisy: oberpolicmajstra, naczelnika kancelarji i sekretarza.

Odezwa nakazywała naczelnikowi więzienia śledczego wydać okazicielowi pakietu, oddzielnego korpusu żandarmów rotmistrzowi von Budbergowi, dziesięciu więźniów, z wymienieniem ich nazwisk i imion, oraz z dokładnym wyszczególnieniem z czyjego rozkazu każdy z nich został uwięziony i w rozporządzeniu jakiej władzy pozostaje.

Przeczytawszy ten nakaz, Maciulewicz zrobił uwagę

— Rzecz szczególna, doprawdy, oberpolicmajster daje rozkaz, abym panu wydał więźnia N., a tymczasem mam inne rozporządzenie, które otrzymałem dnia dzisiejszego, żebym wysłał go do gmachu sądu wojennego, gdzie ma być obecny przy roztrząsaniu sprawy. Nic nie rozumiem! Cóż teraz robić?

Baron drgnął... Nie widział on, że o jednym z więźniów wszczęto konferencję, by go przenieść gdzieindziej. Niemiła ta okoliczność mogłaby zepsuć całą sprawę, gdyby Maciulewicz nie był tak przelękniony surowością rotmistrza.

— Tak, wiem o tem... wezmę go z sobą i oddam kancelarji cytadeli, żeby stamtąd wyprawili go do sądu... Kończ pan prędzej...

— Jak pan każe — zgodził się Maciulewicz pokornie i znów utonął w papierach.

Sprawdził on skrupulatnie wszystkie nazwiska z rozporządzeniem poprzednio otrzymanym przez telefon, a przekonawszy się, że niema pomyłki, zaczął pisać:

Upływały długie chwile trwożnego oczekiwania... Baron liczył je z niecierpliwością, tłumiąc w sobie silne wzruszenie, gdyż wiedział, że każda minuta zwłoki może zaważyć na szali ich życia.

Palił papierosy jeden za drugim, całą siłą hamując w sobie straszne napięcie nerwów.

Martwa cisza panowała wokoło...

Z poza grubych drzwi żelaznych, wiodących do kancelarji z więzienia, nie dolatywał najmniejszy szmer. Nic nie zdradzało jakichkolwiek przygotowań do wyprawienia więźniów, którzy lada chwila powinni być dostawieni do kancelarji.

Ta przygniatająca cisza, senny spokój więzienia, przytlaczały barona; w duszy jego wszystko wrzało, wstał, żeby przejść się po pokoju.

Maciulewicz podniósł głowę, spojrzał w stronę rotmistrza i odezwał się nieśmiało:

— Żeby pan wiedział, panie rotmistrzu, jaką męką jest służba przy takich porządkach. Więzienia przepełnione, co mówię — przepełnione — po prostu nabite w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Napchano aresztantów dwa razy tyle na ilu jest miejsca; stąd też wynikają różne nieprzyjemności, pretensje... Nie jesteśmy w możności spełnić ich żądań, z drugiej strony władza wymaga najściślejszego wykonywania przepisów, a i aresztanci — lud niespokojny... same tylko nieprzyjemności... to nie służba, ale katorga.

— W takim razie powinieneś pan być bardzo zadowolony, panie Maciulewicz, że zabieram od pana tak

wielu aresztantów i jeszcze tak niebezpiecznych — powiedział baron z pewną ironją w głosie.

— Zapewne, ale co to znaczy dziesięciu ludzi, gdy chodzi o setki więźniów przepełniających więzienia... ot, gdyby pan zwrócił na to uwagę władzy, i gdyby zechciała ona to uwzględnić... lepiej byłoby żyć...

W tej chwili odsunęła się ciężka zasuwa drzwi żelaznych, wiodących do więzienia; baron zwrócił się z miejsca i skierowawszy wzrok w tym kierunku, czekał z niecierpliwością.

Drzwi otworzyły się, na progu ukazał się starszy dozorca i zwracając się do dyżurnego, raportował:

— W tej chwili będą wyprowadzali aresztantów. Wszystko gotowe.

Nieszczęśliwy skazaniec.

Dnia tego ciężkie chwile przeżył M., jeden z więźniów. Rano do jego ciasnej, maleńkiej celi przyszedł w całym swym blasku gienerał, jeden z członków sądu wojennego i uroczyście wręczył mu akt oskarżenia, z art. 273, grożącego mu karą śmierci. Widok tego sytego gienerała, pełnego zadowolenia, jego mundur błyszczący, ugrzeczniona mowa przy okrutnych i niesprawiedliwych słowach aktu oskarżenia, wywarły na nieszczęsnym młodzieńcu przygnębiające wrażenie; chwilami zdawało mu się, że to był przebrany kat, który przyszedł z zamiarem pastwienia się nad nim i męczenia swej ofiary. Zapowiedź, że grozi mu kara śmierci, uderzyła go jak grom. Nie oczekiwał tego, gdyż był zupełnie niewinny, nie wiedział i nie rozumiał za co mogli go skazać na karę śmierci?

Przedtym wręczony mu był inny akt oskarżenia, z następstwem kary niewielkiej. I teraz nagle taka zmiana.

— Dlaczego? Jaka przyczyna? — gubił się w domysłach.

Po wyjściu gienerała wpadł w straszny rozstrój nerwowy, długo chodził z kąta w kąt po swojej celi, opuściwszy głowę. Niekiedy z piersi jego rwały się krótkie oderwane zdania, jakby odpowiedzi samemu sobie na męczące go pytania. Podniecenie jego rosło.

Zmęczona wyobraźnia nasuwała mu ponure obrazy: zdawało mu się, że wyrok już zatwierdzono i lada chwila czeka go kaźń... Z oczyma pałającymi zatrzymywał się pośrodku swej celi i zamierającym sercem wsłuchiwał się w najlżejsze szmery, idące z kurytarza; starał się rozróżniać kroki, zbliżające się do drzwi.

Z każdą chwilą oczekiwał, że oto otworzą się drzwi i na progu ukaże się czerwona figura kata...

Oczekiwanie to męczyło go, jak zmora.

Lepiej skrócić, przerwać te straszne męki, lepiej samemu rzucić się w objęcia śmierci, niż czekać na nią z pokorą.

I nie mógł znieść tej męki. Wyczekawszy chwili, gdy szpiegowskie „oko" we drzwiach przymknęło się, młodzieniec chwycił drżącymi rękami prześcieradło i skręcił z niego sznur, którego jeden koniec przywiązał do kraty okna, a z drugiego zrobił pętlę, zacisnął ją na szyi i zawisł...

W tej chwili z lekkim szmerem otworzyło się „oko nadzorcze"... drzwi naraz szumnie się rozwarły; wylękniony dozorca więzienny wpadł do celi i zdjął nieszczęsnego z pętli śmiertelnej. Złożono go na tapczanie, zawiadomiono naczelnika więzienia, zdwojono nadzór.

Długo leżał na tapczanie, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w jeden punkt. Leżał nie czując, nie myśląc. Stracił świadomość tego, co go otaczało. O zwykłej godzinie przyniesiono mu obiad; nie tknął go. Wieczorem

przynieśli mu czajnik z wrzątkiem, zaproponowali naparzyć herbatę — odmówił. O 10-ej wieczorem administracja więzienna obchodząc więźniów, weszła do jego celi: on wciąż leżał obojętny, nie zdając sobie sprawy gdzie jest i co się z nim dzieje.

Przyszła noc... zaczął drzemać wpół leżąc na tapczanie. Sen złagodził jego cierpienia, zatarł w jego pamięci wszystko, co było męczące i straszne, a co przeżył w tym dniu fatalnym; w czarownych rojeniach roztoczył przed nim inne obrazy, radosne; w jego zgorączkowanym mózgu powstały, jak żywe, wspomnienia drogich lat dziecięcych.

Za drzwiami zaskrzypiała zasuwa żelazna. Ozwał się ostry metaliczny dźwięk drzwi otwieranych, na progu stanął starszy dozorca więzienny, żołnierz z karabinem i kilku innych dozorców w głębi.

Starszy doorca, zwracając się do więźnia, powiedział tonem suchym:

Zbierz pan swe rzeczy i wychodź!

Zerwał się naraz z tapczanu, usiłując oprzytomnieć, gdzie jest? Co to za ludzie i czego chcą od niego? Otrząsnąwszy się z rojeń sennych, zrozumiał, że to kaci, którzy go poprowadzą na kaźń, na szafot i z piersi jego wyrwał się jęk rozpaczy:

— Za co?

Nie było wątpliwości, że prowadzą go na kaźń. Gdzieżby indziej w tak późną noc? Niebawem świtać zacznie... Dozorca milczał; wyraz jego twarzy był chłodny, obojętny, jakby drewniany. Widząc jednak powolność ruchów więźnia, zaczął go gniewnie pobudzać, mówiąc że oczekują go w kancelarji.

Nieszczęsny młodzieniec... domyśla się, że tam, w kancelarji czeka go kat w czerwonej koszuli, czarna kareta, zwiększony konwój... a tam... śmierć!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, poszedł za strażnikami więzienia.

Wszedłszy do kancelarji, zobaczył kilku innych więźniów, których zapewne oczekiwał taki sam los opłakany. Tu znajdowała się i straż więzienna i oficer żandarmski.

Ten ostatni odrazu zwrócił uwagę na tego bladego, zmieszanego młodzieńca; zrozumiał, jak wiele przeżył on w ciągu ciężkich chwil oczekiwania śmierci.

VII. Piekło niepewności.

Wprowadzono innych aresztantów i niewielki pokój kancelaryjny stawał się coraz ciaśniejszy.

Baron Budberg z niecierpliwością oczekiwał, kiedy nareszcie skończą się te przygotowania i pilnie śledził za nimi.

Na twarzach wszystkich więźniów wypisane było wzruszenie trwożne: gubili się w domysłach, dlaczego wyciągnięto ich z cel więziennych, w noc tak późną i dokąd ich wieźć zamierzają?

Gdyby tylko miano ich przewieźć do innego więzienia, to można byłoby zrobić to równie dobrze we dnie, a nie nocą. Dlatego można przypuszczać, że wywożą ich teraz w innym celu, być może na miejsce kaźni?

Dokończenie nastąpi.

Emil Haecker.

WOJNA CHŁOPSKA WE WŁOSZECH. OBRAZEK Z DZIEJÓW SOCJALIZMU W XIII i XIV STULECIU.

Ucieczka z klasztoru.

Czerwone blaski zachodzącego słońca przedzierając się ukośnie pomiędzy czarno-zielonymi liśćmi pokrywającymi rozłożyste konary kasztanów, kładły się na szarych, kamiennych murach klasztoru i złociły liście pomarańcz i cytryn, fig i oliwek w sadzie klasztornym. Strugi potu spływały z czoła ogrodnika, który kończył pracę dzienną w sadzie, rzucając od czasu do czasu na słońce spojrzenia niecierpliwe, gniewne, że jeszcze ni skryło się za nieboskłonem. Z kaplicy płynęły dźwięki chóralnej pieśni wieczornej, śpiewanej przez głosy kobiece i rozbrzmiewały uroczyście wśród niezmąconej ciszy sielskiej, w parnym powietrzu letniego wieczoru, ponad okoliczne wzgórza i doliny, ponad wioski poprzyczepiane, jak gniazda jaskółcze do stoków gór. Ogrodnik chciwym uchem łowił te dźwięki, jak gdyby chciał rozróżnić harmonijnie zmieszane głosy i wyłowić z nich głos jeden, jeden...

Wreszcie purpurowa tarcza słoneczna ukryła się za górami, przebrzmiały dźwięki pieśni, cisza i mrok spowiły sad i klasztór, którego ponure kontury osrebrzyły promienie księżyca, jaśniejącego na ciemno niebieskim tle nieba w otoczeniu iskrzących sie gwiazd. Młody ogrodnik przestał pracować z chwilą, gdy tylko zapadł pierwszy mrok. Położył się na wznak na trawie i wpatrzony w firmament, zasiany gwiazdami wdychał pełną piersią aromatyczną, odurzającą woń wieczoru letniego. Światła w oknach klasztoru dawno już pogasły, gdy ogrodnik wreszcie wstał i z sadu wyszedł na dziedziniec klasztorny. Tu srebrne światło księżyca oblało całą postać wspaniale zbudowanego młodzieńca, które niezwykłe, jakby

rzeźbione oblicze okalały kędziory kruczych włosów, spadających aż na ramiona. Z pod dwóch śmiałych łuków brwi jarzyła się para zuchwałych oczu, czarnych, jak węgiel, myślących i przenikliwych, a buchających od czasu do czasu płomieniami namiętności.

Po drabinie dostał się na mur okalający dziedziniec klasztorny, tuż koło narożnego okna klasztoru. Chwycił się rękoma za kratę okienną, pochylił głowę ku kracie i przez otwarte okno rzucił do celi szeptem słowa:

— Bądź pozdrowiana zorzo poranna, która wschodzisz dla mnie o wieczornej porze!

Za kratą zamajaczyła biała postać.

— Witaj mi! — ozwał się szept kobiecy, cichy, lecz gorący, wezbrany uniesieniem tłumionych tęsknot i pragnień. — Jesteś rosą ożywczą dla mej spragnionej duszy, który co noc przychodzisz tu do mego okna. Odkąd zawitałeś w te mury klasztorne, zagościła u mnie nieznana przedtym radość, ale i nieznany przedtym niepokój Kto jesteś młodzieńcze, który nowe mi otworzyłeś światy, który rozpętałeś skrzydła mego ducha, który mi niesiesz myśli, jakich nigdy nie słyszałam i głosisz królestwo Boże, o jakim dotąd nikt mi nie mówił? Kto jesteś? Bo chociaż w nędzne jesteś odzian szaty i spełniasz ciężką pracę parobka, nie jesteś parobkiem! Na wyniosłym twym czole jaśnieje gienjusz, a słowa twe nie są mową prostaka. Okrywasz się tajemnicą ale ja widzę, że nie jesteś tym, za co chcesz wobec ludzi i świata uchodzić. Kim jesteś, młodzieńcze?

— O piękna mniszko, nie mylisz się. Wkrótce nadejdzie czas, że pozna mnie świat w mej prawdziwej postaci. Dziś muszę jeszcze milczeć przed ludźmi.

— Ale nie przedemną. Mnie możesz, mnie powinieneś powierzyć swą tajmnicę. Moje usta jej nie wyjawią choćby na torturach.

— Przed tobą, Małgorzato, serce me otworzę, bo

chciałem to uczynić już dawno, ale wahałem się z obawy, żeby to okno nie zamknęło się przedemną na wieki.. Dziś jednak jestem już pewny twojej duszy. Więc słuchaj: Nie jestem parobkiem. Jam szlachcic, miano me Dolcino, ze szlachetnego rodu Tormiellich z Novary. Ojciec mój był pustelnikiem świątobliwym i mądrym, szanowanym przez ludność z Vercelli i okolicy. W tamtych bowiem stronach pod wioską Prato, żył w pustelni z matką moją. Mnie dał ojciec staranne wychowanie i pierwszą naukę. Przeznaczył mnie do stanu duchownego, do którego przygotowywano mnie od wczesnej młodości w Vercelli. Stamtąd przybyłem tu do Trydentu, gdzie wstąpiłem, jako nowicjusz, do klasztoru Franciszkanów. Tu zaczął się dla mnie okres walk duchowych. Opowiadałem ci już, jakie były nauki i zamiary św. Franciszka z Assyżu. Chciał on usunąć nierówność pomiędzy ludźmi, znieść panowanie człowieka nad człowiekiem, pańszczyznę i wyzysk i ucisk, zaprowadzić własność wspólną, zawieść ludzkość napowrót do sposbu życia pierwszych chrześcian. W tym celu założył zakon, który miał głosić jego naukę i zwalczać zło. Ubodzy robotnicy, przeważnie tkacze, skupili się koło niego, tworząc trzeci zakon św. Franciszka. Ci tercjarze miel być ową drużyną, której zadaniem było objąć cały uciemiężony lud pracujący pod hasłem walki o zupełną równość i prawdziwą miłość pomiędzy ludźmi. Nic dziwnego że pasożyty, wysysające lud pracujący, usiłowały udaremnić dzieło Franciszka. Sobór lateraneński uchwalił zakaz przeciw jego zakonowi. Wobec tego św. Franciszek, widząc, że za słabe są jego zastępy, aby zwalczyć Antychrysta dławiącego ludzkość, pogodził się z kościołem, bo spodziewał się, że działając w łonie kościoła, potrafi go od wewnątrz naprawić i poprowadzić na swoją drogę. Ale jakże srodze się zawiódł! Wprawdzie papież zatwierdził jego zakon, lecz pod koniec życia stwierdził sam św. Franciszek, że

dzieło jego zostało skrzywione. Tercjarze — robotnicy — trzymają się wprawdzie jego nauk, ale przeklęci „lazzaroni'', próżniacy i darmozjady zrobili z jego zgromadzenia zakon żebraczy, zakon pasibrzuchów, żyjących wygodnie w cudzej pracy, pokornych wobec potężnych ciemiężców, i bogaczy, taki sam, jak inne zakony! Wszak nie minęło jeszcze 70 lat od śmierci św. Franciszka, a jakiż smutny obraz przedstawia jego dzieło! A kościół? Mianował on wprawdzie Franciszka z Asyżu w dwa lata po jego śmierci świętym, ale nie przyjął nic z jego nauk, i pozostał pełnym zgnilizny, jak dawniej. Żyje jednak jeszcze duch św. Franciszka! W jego zakonie jest rozłam! Uczciwa część braci nie chce pójść w ślady pasibrzuchów, korzących się przed Rzymem, tym ciemięzca i wyzyskiwaczem ludzkości. Ci bracia nazywają się spirytuali, albo fraticelli. Z nimi trzymają tercjarze. I w naszym klasztorze było kilku fraticellów, którzy bali się jednak jawnie występować, aby ich nie dano katowi. Oni to i mnie wtajemniczyli w to wszystko.

Odtąd nie miałem spokoju! Kłamstwa i obłudy nie znoszę, nie mogę ukrywać tego, co duszy mojej istotę stanowi: duch mój musi być wolnym. A dowiedziałem się od fraticellów przejezdnych, że już są tacy, którzy do otwartej walki wystąpili. We Francji już od stu lat walczą oni o wolność i równość, o wspólną własność i braterstwo, a zowią ich tam „Ubogimi z Lugdunu'', albo „Waldensami'' od Piotra Waldensa, który pierwszy ten związek założył między tkaczami w Lugdunie. A i u nas na włoskiej ziemi istnieje od niedawna taki związek; wielu fraticellów przeszło już do niego otwarcie, lub sympatyzuje z nim skrycie i potajemnie z nim utrzymuje stosunki, wspierając go wedle możności. Jest to związek Braci Apostolskich; lud zowie ich Patareńczykami. Między tkaczami Patarja szerzy się coraz bardziej, a i chłopi pańszczyźniani poczynają lgnąć do niej. Na czele Braci

Apostolskich stoi mąż boży Gerardo Segarelli, który chociaż srodze prześladowany, lecz nieugięty, głosi niezmordowanie słowo boże wpośród ludu. Gdym się o tym wszystkim dowiedział, stało mi się duszno w klasztorze! Zapragnąłem pójść w szeregi braci Apostolskich i walczyć razem z nimi. A gdym raz na procesji ujrzał Anioła w habicie mniszki, skończyły się moje wahania. Porzuciłem klasztór, nie złożywszy ślubów zakonnych, i postanowiłem zbliżyć się do ciebie, bo czułem, że bez ciebie żyć nie mogę, że ty pójdziesz razem ze mną przez całe życie. Przebrany za parobka przyszedłem więc do klasztoru św. Katarzyny i podjąłem się najcięższych robót, aby dostać tu miejsce sługi klasztornego, i w ten sposób być w twoim pobliżu. Wiesz zatym, kim jestem i do czego dążę, Małgorzato z Trenk! Zapytuję ciebie: czy chcesz pójść ze mną przez ciernistę życie, które będzie nieprzerwanym pasmem ofiar i walk o świętą sprawę ludową?

— Pójdę z tobą, o najdroższy, pójdę z tobą bojowniku ludzkości, będę towarzyszką twych cierpień i ofiar, pomocnicą w pracach i walkach, dzielić będę z tobą i znój i głód i troski i prześladowania i tryumfy twoje.

— Na wieki wieków — odparli chłopi, którzy w niedzielę po południu po nieszporach siedzieli w karczmie przy stołach gwarząc i popijając cienkie kwaśne wino.

— Witajcie braciszku! Skąd droga prowadzi? Może nam opowiecie co nowego?

Przybysz był to braciszek zakonny reguły św. Franciszka.

— Z daleka idę, z pielgrzymki — odparł — i droga wypadła mi przez waszą uroczą dolinę Sezji. Piękna okolica, ale we wszystkich wioskach tej okolicy i całego Piemontu widziałem wielką biedę, a i w waszej wiosce, zdaje się, nie lepiej.

Bracia Apostolscy.

Ze zdumieniem i podziwem stawali przechodnie na ulicach Medyolanu, jakby na widok czegoś nadziemskiego. Istotnie widok niezwykły uderzał ich oczy. Oto na grzbiecie osiołka jechała środkiem ulicy niewiasta młoda nadzwyczajnej urody, a obok kroczył, osła za uzdę prowadząc, równie piękny młodzian. Nigdy jeszcze nie widziano tak cudnej pary; w blaskach zachodzącego słońca wyglądała ona, jak niebiańskie zjawisko. To też ludzie gapili się na nią, oniemieli z podziwienia.

Wędrowcy zatrzymali się dopiero na skraju miasta przed ubogą chatą. Niewiasta zeskoczyła z osła, a młodzieniec stuknął trzykrotnie laską w drzwi chaty.

Uchyliły się drzwi i w progu ukazała się kobieta, nie stara, lecz spracowana i zawiędła.

— Wejdźcie! Czym chata bogata, tym rada! Giacomo, zaprowadź osła do stajenki i daj mu siana.

Dziesięcioletni chłopak, który się ukazał z za spódnicy matki, pochwycił osła za uzdę i poprowadził do stajni. Nieznajomi zaś weszli do chaty.

— Witajcie! — ozwał się do nich mężczyzna, siedzący zo krosnami tkackimi. — Zapewne jesteście znużeni drogą i głodni. Spocznijcie i jedzcie.

Żona tkacza postawiła na stole przed przybyszami dzban wina, chleb, ser i figi. Oni siedli i posilali się, a tkacz ciągnął przerwaną na chwilę pracę. Krosna skrzypiały miarowo, szybko przewijało się czółenko. Żona tkacza ciekawie przypatrywała się obcym, z początku w milczeniu, potym przysiadła się do nich i jęła im opowiadać o ciężkiej pracy swego męża, Claudia, o swoich kłopotach, o niedoli tkaczów i wyzysku, jakiemu ulegają o małych zarobkach i drożyźnie.

Gdy obcy się posilili, wstał Claudio od krosna i rzekł do nich:

— Dobrzeście trafili, dziś bowiem wieczorem będzie zebranie, na którym będzie przmawiał ktoś, kogo zapewne poznać chcecie. Albowiem brat, który mi zapowiedział wasze przybycie, mówił mi też, do kogo wędrujecie. Otóż przypadkiem tu znajdziecie cel swej wędrówki.

Gdy zapadł zmrok, Claudio zaprowadził Dolcina i Małgorzatę — gdyż oni to byli — do pobliskiego lasu. Uszli ścieżką w lesie spory kawał, aż wreszcie ujrzeli światełko migające wśród drzew. W tej chwili ozwał się groźny głos:

— Kto idzie?

— Pan z wami! — ozwał się znów ten sam głos i z za drzewa wynurzyła się wysoka postać mężczyzny z włócznią i krótkim mieczem w ręku. — Ach, to ty, Claudio! Śpiesz się, bo spóźniłeś się nieco! Zebranie już się rozpoczęło!

Claudio i para przybyszów przyśpieszyli kroku

— W ten sposób — objaśnił Claudio — każde nasze zebranie otaczamy stróżami, aby nas ktoś obcy nie naszedł z nienacka.

— Głosiciele prawdy i sprawiedliwości kryć się muszą przed Antychrystem — szepnęła z goryczą Małgorzata.

Wyszli na polanę, gdzie oczom przybyszów przedstawił się niezwykły widok. W oświetleniu kilku płonących szczap smolnych ujrzeli na polance malowniczo zgrupowanych kilkaset osób, przeważnie mężczyzn; były to rosłe, spracowane postacie tkaczów, i innych robotników. Na dużym głazie stał mąż wyniosłej postawy o ostrych rysach twarzy i orlim nosie, o długich, szpakowatych włosach i takiejże brodzie. Głosił kazanie. Z oczu sypały mu się błyskawice, a głos donośny, ostry, namiętny, dźwięczał jak stal.

— I ja — brzmiały jego słowa — łudziłem się niegdyś, że kościół stanie na czele maluczkich i ubogich

duchem i podniesie miecz przeciw ciemięzcom. I jam pokładał nadzieje w dziele św. Franciszka z Asyżu. Chciałem wstąpić do jego zakonu, ale już wówczas, a było to zaledwie lat 35 od śmierci założyciela, zakon ten tak nisko ugrzązł w błocie rzymskim, że nie przyjął mnie, jako człowieka zbyt bezwzględnego wobec bogatych i możnych! Założyłem tedy w roku pańskim 1260 związek braci Apostolskich, aby szli nauczając pomiędzy lud i głosili dobrą nowinę wyzwolenia z domu niewoli.

Lat z górą 30 głoszę prawdę między ludem i mimo wszelkich prześladowań, związek nasz w tym czasie rozgałęził się po całej Lombardji, a także w innych prowincjach Włoch, we Francji i w Niemczech, ba, nawet w odległej Hiszpanji są już gminy Braci Apostolskich. W Niemczech, zgromadzenie biskupów i opatów w Wuerzburgu w roku pańskim 1287 odbyte w obecności cesarza Rudolfa, wydało przeciw Braciom Apostolskim ustawę, która zakazywała wiernym przyjmowania ich w dom i podawania im jadła lub napoju. Wprzód jeszcze dobrano się do nas we Włoszech, gdzie sława Braci Apostolskich rozniosła się między ludem. Dowiedział się o Patarji biskup z Parmy i na jego rozkaz w roku pańskim 1280 wtrącono mnie do więzienia, poczym papież Honorjusz IV polecił wdrożyć śledztwo celem zbadania, czym właściwie są bracia Apostolscy i doczego właściwie dążą. Tak więc wprzód nas prześladowano i więziono, zanim nawet wiedziano, czym zgrzeszyliśmy czymkolwiek! Przez sześć lat gniłem w więzieniu. Puszczono mnie wreszcie na wolność, bo im się zdawało, że Bracia Apostolscy, to zwykły zakon żebraczy, konkurent Franciszkanów i Dominikanów. Skończyło się na tym, że Papież zakazał naszego związku, a mnie wydalono z Parmy. Więzienie mnie nie ugięło; prześladowania nie złamały Braci Apostolskich. Nie poddaliśmy się zakazowi. Wydalony z Parmy, wędrowałem po całych Włoszech pół-

nocnych niestrudzenie, wszędzie odbywając tajemne zebrania i zakładając wciąż nowe gminy braci Apostolskich.

— Zaprawdę powiadam wam — grzmiał dalej jego głos, — nadejdzie wkrótce dzień sądu sprawiedliwego. Wytrwajcie jeno wbrew prześladowaniom! Wspierajcie się wzajem! Nieście apostolstwo prawdy do wszystkich krajów i narodów i oświecajcie lud ubogi. Wytrwajcie więc! Silni wiarą, nie lękajcie się paszczęki smoka piekielnego! Jego zęby wykruszą się na opoce bożej i święta sprawa zwycięży potęgę szatańską. a lud wyzwolon będzie z obieży niedoli i ucisku!

Tak mówił Gearardo Segarelli, założyciel i wódz sekty Braci Apostolskich, a proste jego słowa wnikały głęboko w serca słuchaczów, budząc w nich zapał święty i wiarę niezłomną.

— Czy przysięgacie wytrwać w wierze apostolskiej i nie ugiąć się przed możnymi tego świata?

— Przysięgamy — zabrzmiała chórem odpowiedź.

Gerardo Segarelli zstąpił z kamienia. Zebranie było skończone. Zgaszono łuczywo i ludzie poczęli się rozchodzić.

Przed Fra Gerardem stanęły dwie postaci.

— Ojcze, pozwól nam nieść apostolstwo twoje pomiędzy lud i walczyć u twego boku aż do ostatniego tchnienia.

Ogniem i mieczem.

Ciężkie czasy nastały dla Braci Apostolskich, czasy krwawych prześladowań, gdy na tron papieski wstąpił w r. 1294 Bonifacy VIII. jeden z najchciwszych i najokrutniejszych papieży, jacy kiedykolwiek na stolicy Piotrowej zasiadali. Chciwość tego papieża nie znała granic. Wskutek tego popadł w zatarg z królem Sycylji Fryderykiem II Aragońskim i z królem Francji Filipem IV. Tym energiczniej wziął się więc Bonifacy VIII

do tępienia „wroga wewnętrznego”, który mógł się stać niebezpiecznym dla tyranji papieskiej sprzymierzeńcem ościennych nieprzyjaciół. Tym „wrogiem wewnętrznym była ówczesna partja socjalistyczna, zwana powszechnie Patarją, a zowiąca sama siebie Związkiem Braci Apostolskich. Kto z braci dostał się w ręce zbirów papieskich, brany był na tortury, łamany był na kole, wyrywano mu obcęgami język, smażono nieszczęsnego na rozżarzonych węglach, kaleczono najokrutniej, a w końcu palono go żywcem na stosie. Wystarczyło samo podejrzenie, że ktoś należy do Braci Apostolskich, aby go los ten spotkał.

Ale duch w braciach Apostolskich nie upadł; nie ustali oni w gorliwości agitacyjnej, chociaż w r. 1394 wódz ich Gerardo Segarelli wpadł w ręce siepaczy papieskich i został wtrącony do więzienia.

Oczy Braci zwróciły się wówczas na jedynego człowieka, który mógł zająć miejsce uwięzionego wodza i poprowadzić partję. Człowiekiem tym był Fra Dolcino, który wymową swą ognistą, niepospolitymi zdolnościami, bystrością polityczną i niezłomną energją zdobył sobie w partji największą popularność. Zyskała w nim partja wodza daleko śmielszego, bardziej zdecydowanego i energiczniejszego, niż Segarelli.

Stanąwszy na czele partji,pokazał Dolcino odrazu, że był człowiekiem czynu. Wzmocnił węzły organizacyjne partji co było koniecznym wobec strasznych prześladowań. Agitacja musiała się stać bardziej konspiracyjną, ale mimo to prowadził ją Dulcino niestrudzenie. Współcześni kronikarze nie mają dość słów podziwu dla Dulcina i Małgorzaty wielbiąc zarówno piękność tej młodej pary, jakoteż rozum, entuzjazm, poświęcenie i męstwo obojga. Para ta podróżowała nieustannie po całej Lombardji i Piemoncie, agitując wszędzie wśród ludności pracującej i werbując coraz nowych zwolenników sprawie

Braci Apostolskich. O Fra Dolcinie i pięknej Małgorzacie z Trenk zaczęły wkrótce krążyć legiendy pomiędzy ludem. Zaczęto wierzyć, że Dolcino to Mesjasz, który wyprowadzi ludzkość z domu niewoli....

Ale prześladowania zaostrzały się coraz bardziej. Po sześcioletnim więzieniu i torturach, został Gerardo Segarelli w r. 1300 spalony na stosie.

Na głowę Dolcina została nałożona cena. Postanowili więc bracia, że Dolcino musi się schronić za granicę.

Wielkie przygnębienie zapanowało wśród braci wskutek stracenia pierwszego ich przywódcy i założyciela partji, oraz wobec konieczności wyjazdu obecnego ich wodza, który się stał bożyszczem tłumów, zwłaszcza robotniczych.

Ale Dolcino dodał Braciom otuchy.

— Uchodzę z tego kraju — rzekł żegnając się z nimi — gdzie tyrani ogniem i mieczem chcą wytępić prawdę i sprawiedliwość. Ale nie na długo opuszczam tę ziemię. Wkrótce tu powrócę, aby na czele rzesz zbrojnych ogniem i mieczem wytrzebić nieprawość i ucisk i doprowadzić do zwycięstwa sprawę maluczkich i wyzyskiwanych, na gruzach i popiołach gmachu niewoli i grzechu! Ufajcie i wytrwajcie! Nie upadajcie na duchu! Albowiem nadejdzie dzień sprawiedliwego sądu!

Wzruszeni do głębi ze łzami w oczach i błogosławieństwy na ustach, cisnęli się Bracia i Siostry do Dolcina, aby go pożegnać i ucałować skraj jego szaty.

W przebraniu, nocami, przy pomocy wiernych Braci, przedostali się Fra Dolcino i Małgorzata do Dalmacji, gdzie cztery lata spędzili na wygnaniu. Zakosztowali do syta gorzkiego chleba emigracji, ale nie przestawali pracować dla świętej sprawy. Dolcino napisał z wygnania kolejno trzy listy do Braci w kraju, gdzie w licznych odpisach krążyły, jako broszury agitacyjne, podnosząc ducha wśród braci i jednając im nowych towarzyszów.

Listy Dolcina.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

chłodzić będę rozpalone czoło twoje, pójdę razem z tobą przez drogę żywota, pójdę razem z tobą i na śmierć!

Długo jeszcze w srebrzystą noc księżycową płynęły poprzez kratę klasztorną ciche szepty dwojga kochanków którzy omawiali szczegóły postanowionej ucieczki z klasztoru.

Następna noc była ciemna i wietrzna. Około północy zerwała się burza. Otwarły się upusty niebieskie i strugi deszczu zalewały świat boży. Wśród największej ulewy, wśród wycia wichrów i błyskawic blasków rozdzierających co chwila ciemności, wśród grzmotów i piorunów huku dwoje ludzi otulonych w płaszcze i kaptury opuściło klasztór św. Katarzyny boczną furtą i powędrowało w czarną dal...

— Święta prawda! — jęli wzdychać chłopi, a sędziwy Lorenzo dodał:

— Oj, coraz gorzej gniecie nas bieda. Nasza wieś jest biskupia. Jeszcze za dziadków naszych ziemia była chłopska, dziś już cała ziemia szlachecka, albo biskupia, albo klasztorna, a my musimy odrabiać pańszczyznę i płacić dziesięciny. A dziesięciny to coraz bardziej rosną i rosną, a ty chłopie płać i płać, a skąd masz wziąć, to biskupa nie obchodzi. Oj ciężka dola chłopska!... A teraz zaś znów wymyślili jakiś rok jubileuszowy i znowu płać chłopie na Ojca Świętego, że to on teraz jest w biedzie, bo podobno jacyć tam królowie rękę na niego podnoszą i świętopietrza płacić nie chcą. Więc i to my musimy zapłacić. Oj, coraz gorzej na świecie!...

— Ale pono wnet się to już ma skończyć — zawołał młody i namiętny Giuseppe — dochodziły nas już jakiej słuchy. Było tu u nas już kilku wędrownych braciszków z zakonu św. Franciszka, którzy nam tu coś o tym rozpowiadali. Mówili coś o Fra Dolcinie... Może wy

nam braciszku coś o tym powiecie? Hej, gospodarzu, postaw no braciszkowi wina!

— Chętnie wam niejedno opowiem — obejrzał się badawczo dokoła i dodał ciszej:

— Ale musicie to do czasu zatrzymać w ścisłej tajemnicy.

— Utrzymamy język za zębami! Nie masz między nami zdrajców ani donosicieli! — wołali chłopi i skupili się bliżej dokoła Franciszkanina.

Ten zaś zaczął półgłosem.

— Wspominaliście o „roku jubileuszowym” Nigdy dotąd przez 1300 lat od narodzenia Chrystusa nie znał Kościół święty żadnego „roku jubileuszowego.” teraz dopiero papież rok taki ustanowił. Ale po co on to zrobił? To prawda, że kasa papieska była pusta, bo poprzedni papieże bardzo dużo wydali na uczty i na nierządnice, żyjąc w zbytku i rozpuście, ku zgorszeniu wiernych. Musieli więc drzeć świętopietrze i dziesięcinę z narodów chrześcijańskich, bo coraz więcej pieniędzy na rozpustę potrzebowali. Sprzykrzyło się to jednak narodom, które powiedziały: nie damy się wysysać i zdzierać do ostatniej koszuli, ażeby nasz krwawy grosz utrzymywać miał Sodomę i Gomorę w Rzymie, tym nowym Babilonie. Tak powiedziała Sycylja i Francja. Zaczeli więc papieże wojować z tymi krajami, aby zmusić je do płacenia danin. Na to znowu trzeba pieniędzy, a tu kasa papieska pusta. Więc ojciec święty Bonifacy VIII, który nam obecnie panuje, wymyślił „rok jubileuszowy.” Znaczy to, że ostatni rok każdego stulecia ma być rokiem zupełnego odpustu dla wszystkich wiernych owieczek, którzy w tym roku za ten odpust wszystkich grzechów zapłacą papieżowi pieniądzmi. No i zeszłego roku był pierwszy taki rok jubileuszowy. Byłem ci ja wtedy w Rzymie i widziałem co się tam działo w tym grodzie Baala. Nieprzeliczone tysiące ludu napłynęły tam i tak sypały pieniądzmi, że gro-

mada księży przy ołtarzu św. Piotra dniem i nocą nic innego nie czyniła, jeno zgarniała grabkami drewnianymi te pieniądze, że ledwo mogła nastarczyć. Ścisk był taki, że mnóstwo wiernych udusiło się w natłoku. Wiecie, ile w tym „roku jubileuszowym'' pieniędzy dostał papież od wiernych? Piętnaście miljonów.

Takie olbrzymie sumy zagarnął papież w jednym roku. Przyjdzie jednak wkrótce dzień straszliwego sądu i kar.

Struchleli chłopi, a fraticello tak ciągnął dalej:

— Słyszeliście już o Fra Dolcinie?

Słyszeliśmy.

Otóż Fra Dolcina wybrał Pan za narzędzie swoje. Obecnie jest on daleko stąd na wygnaniu, bo oto mam list od niego do ludu w Piemoncie i Lombardji.

Z pod habitu wyciągnął braciszek duży pergamin.

— Aaa! List od Dolcina! — rozległy się szmery.

— Cóż on tam pisze?

— Kto to jest właściwie ów Fra Dolcino?

— Zaraz wam wszystko opowiem, jeno posłuchajcie cierpliwie. Otóż przed stu laty żył w Fiore opat Joachim, o którego proroctwie zapewne słyszeliście. Przepowiedział on koniec rzymskiej Sodomy i zwalczenie Antychrysta, a pokładał on swoje nadzieje w cesarzu Fryderyku II, który z papieżem wojował.

Ale ta przepowiednia się nie spełniła, bo cesarz Fryderyk zmarł w roku 1250 nie dokonawszy tego dzieła. Nie myślcie jednak, że proroctwo jest fałszywe! Spełni się ono, jako żywo! Bo oto powstał nowy Fryderyk II, który dokaże tego, co w proroctwie opata Joachima było powiedziane!

— Co? jaki nowy Fryderyk II?

— Fryderyk II Aragoński, nie cesarz niemiecki, lecz król Sycylji! Słuchajcież teraz uważnie: Wiecie coś zapewne o partji Braci Apostolskich?

— Słyszeliśmy o nich. To są tkacze.

— Przeważnie tkacze, ale są wśród nich i inni robotnicy. Na ich czele stoi Fra Dolcino. Chcą oni wydobyć lud pracujący z niewoli i upodlenia, zwalczyć potęgę papieża i biskupów i zaprowadzić prawdziwie chrześcijański kościół boży, w którymby wszyscy ludzie byli wolni i szczęśliwi, w którymby własność była wspólna...

— Ej to niemożliwe. Zawsze byli i będą bogaci i ubodzy...

— Nie bluźnij; możliwe jest! Ale Dolcino widział, że siły Braci Apostolskich na to nie wystarczą. Cóż poradzi mała garstka tkaczy przeciw całej potędze rzymskiego Antychrysta?

— Czemu się Fra Dolcino nie zwrócił do nas, chłopów? Przecieby razem z nami miał większą potęgę.

— A czy wy chcieliście go słuchać? Czy chłopi nie byli najpokorniejszymi niewolnikami? Czy nie odrabialiście pańszczyzny i nie składaliście dziesięcin bez szemrania i nie przyjmowaliście wszelkiego ucisku ludzkiego, jako dopustu bożego? Czy chcieliście słyszeć o wspólnej własności i o zbrojnej walce przeciw panom i biskupom? Dopiero teraz, gdy się wam już miarka przebrała, gdy już nie możecie udźwigać ciężaru, powiadacie, że przystalibyście do Dolcina. Ale przedtym tylko robotnicy się do niego garnęli.

— Święta prawda — westchnął Lorenzo. — Byliśmy głupi, jak zwyczajnie chłopi, którzy świata nie widzieli więcej, jak tylko tę dolinę Sezji.

— Ale teraz wszyscy przystaniemy do Dolcina — dorzucił Giuseppe.

— No, to rzeczywiście będzie potęga większa, lecz kto wie, czy i tak dalibyśmy radę rzymskiemu Lucyperowi. Na szczęście jednak przyjdzie nam w pomoc ów król sycylijski Fryderyk, który teraz z tym papieżem wojuje. Nie dlatego on zrobi, żeby kochał maluczkich i u-

ciemiężonych i żeby chciał sprawiedliwości, ale dla własnego interesu. W każdym razie to sprzymierzeniec naszej sprawy, chociaż mimowolny, ale potężny.

— Kruk krukowi oka nie wykole.

— Nie gadaj tak, bo świata nie znasz. Wszak we Francji, gdy tam powstała partja taka, jak u nas Bracia Apostolscy, a zwano ją tam Waldensami lub Albigensami i gdy przeciw tym Albigensom wysłano wojsko krzyżowe, to pradziadek dzisiejszego Fryderyka sycylijskiego, król Aragonji, Piotr II stanął po stronie Albigensów i razem z nimi wyruszył na wojnę przeciw krzyżowcom i poległ sam w tej wojnie w bitwie pod Muret w roku pańskim 1213. A i syn jego, Jakób I, dziadek Fryderyka, dawał posiłki Albigensom. Więc tak samo Fryderyk może nam dać posiłki, tymbardziej, że papież nie chce go uznać królem i wciąż ze sobą wojują. Widzicie zatym, że Zbawiciel nam sprzyja i nasze będzie zwycięstwo.

— A teraz posłuchajcie, co pisze w swoim liście Fra Dolcino. Przytacza on przepowiednie proroków na świadectwo słów swoich i przedstawia zwierciadło dzisiejszego kościoła. Św. Franciszek i św. Dominik — pisze Fra Dolcino — położyli wielkie zasługi około sprawy ubogich, bo ogłosili miłość ku ubogim i poniżonym, pogardę dla pieniądza i potęgi doczesnej, ale usilowania ich — pisze dalej Fra Dolcino — spełzły na niczym. Bo oto Franciszkanie i Dominikanie zbudowali domy i nagromadzili w nich wyżebrane bogactwa. Tak pisze Dolcino, a ja, choć sam Franciszkanin — powiadam wam, że on prawdę pisze, bo i ja i wielu innych braci zakonnych, nie możemy już dłużej patrzeć na nieprawość, w jaką popadł nasz zakon zszedłszy z drogi naznaczonej mu przez jego świętego założyciela. Słusznie więc pisze Fra Dolcino, że i zakony Franciszkanów i Dominikanów zaraziła zgnilizna całego kościoła, a jeżeli się chce kościół

oczyścić, to trzeba znieść wszystkie zakony, te gniazda próżniaków, darmozjadów i wyzyskiwaczy, a powrócić do sposobu życia pierwszych gmin apostolskich. Wszyscy ludzie powinni żyć tak, jak żyli pierwsi chrześcijanie. W roku pańskim 1303 spełni się sąd! W roku tym Fryderyk II, król sycylijski zwycięży Bonifacego VIII, a wtedy nadejdzie pora dla nas, abyśmy spełnili proroctwa i na gruzach rzymskiego Babilonu zaprowadzili tysiącletnie królestwo szczęśliwości powszechnej. Weźmiemy Antychrysta we dwa ognie: Fryderyk w Rzymie upora się z papieżem, a wy tu z biskupami i szlachtą.

— To za dwa lata?

— Tak jest. Przez te dwa lata pilnie nadstawiajcie ucha, czy was jakieś wieści nie dolecą i czekajcie na Dolcina.

— A powiadają, że z Fra Dolcinem jest też jakaś niewiasta cudnej urody! — zapytał młody Giuseppe.

— Jest — odparł fraticello — nazywa się Małgorzata z Trenk. Istny anioł! A jaka mądra! A waleczna, jak mężczyzna! Cud niewiasta! Światłość od niej bije, jak od świętej! Zjawi się ona z Dolcinem, jeno czekajcie i nie zdradźcie się z niczym. A przygotowujcie powoli broń! Muszę już odejść i tylko raz jeszcze powtarzam wam: za dwa lata!

— Niech was Bóg prowadzi, braciszku! Fra Dolcino może na nas wszystkich liczyć! Cała Valsesia stanie za nim, jak jeden mąż!

.. ..

Upłynęły dwa lata. I znowu pewnej niedzieli zjawił się w tej samej wiosce nad Serją, w karczmie ten sam Franciszkanin, brat Giovanni. Chłopi poznali go odrazu.

— I cóż, braciszku — powitali go — upłynęły dwa lata, a co z przepowiednią? Gdzie Fra Dolcino? Co robi ów Fryderyk? Papież umarł, ale nowy już jest, a o dniu

sądu ani słychu! A nas biskup coraz bardziej uciska! Gdzież owo zwycięstwo sprawiedliwości?

— Pozwólcież mi odsapnąć — odparł zasypany gradem pytań i wymówek fraticello. Pozwólcie mi się nieco ogrzać, bo zima jest ostra i mróz siarczysty w tych górach piemonckich, więc zmarzłem porządnie.

Usiadł koło komina, a gdy nieco ogrzał skotniałe nogi, jął tak mówić:

— Głupi jesteście i ludzie małej wiary. Wszak proroctwo Dolcina po części się spełniło. papież Bonifacy VIII, najchciwszy i najchytrzejszy tyran, jaki kiedykolwiek nosił tyarę, zmarł w tym roku, jak było przepowiedziane. Wiecie, jak zginął? Oto szlachecki ród Colonnów, który z papieżem Bonifacym wojował, współzawodnicząc z nim w nienasyconej chciwości, sprzymierzył się z królem francuskim Filipem IV, który za to przysłał Colonnom przez słynnego Nogaretta dużo pieniędzy. Colonnowie razem z Nogarettem uknuli spisek, napadli na papieża w Anagni wśród okrzyków: „precz z papieżem" i wzięli go do niewoli. Tak się papież rozgniewał, że mało nie zwarjował, zwłaszcza, że się z nim Colonnowie bardzo grubijańsko obchodzili. Wprawdzie rychło rokosz wyswobodził go z rąk Colonnów, ale żeby się przed nimi zabezpieczyć, uciekł się papież pod opiekę rodu Orsinich, odwiecznych wrogów Colonnów. Lecz wpadł z deszczu pod rynnę, bo teraz Orsini trzymali go znów w niewoli. To go tak zgniewało, że żółć mu w mózg uderzyła — zwarjował i wkrótce z tego zmarł.

— Papieżem nowym — ciągnął dalej po chwili odpoczynku został wybrany Benedykt XI, który zawarł pokój z Filipem IV, ale to nic nie znaczy. Mam tu oto nowy list od Fra Dolcina, w którym tenże powiada, że rzeczywiście w roku pańskim 1303, jak to przepowiedział w pierwszym liście, zguba przyszła na Antychrysta w tjarze. W przyszłym roku nowy papież i kardynałowie zostaną

pozabijani przez Fryderyka sycylijskiego, a rok 1905 będzie rokiem zniszczenia i śmierci dla reszty duchowieństwa rzymskiego Lucypera. Nie traćcie więc nadziei i wiary i przygotowujcie się do walki. Dziś już chłopi z całej doliny Sezji są po stronie Dolcina, więc w ostatecznym razie możnaby i bez sprzymierzeńców spróbować o własnych siłach.

.. ..

I drugie proroctwo Dolcina okazało się złudnym, bo papież Benedykt XI zawarł w roku 1304 pokój i z Fryderykiem II, królem Sycylji. Rachuby polityczne zawiodły. Nie można było już liczyć na sprzymierzeńców. Trzeba było spróbować o własnych siłach. W tym duchu napisał Dolcino trzeci list do Braci Apostolskich i z początkiem roku 1304 wśród zimy wrócił z Dalmacji do Włoch. Na czele zbrojnego zastępu wkroczył do Piemontu, chociaż zima nie była porą korzystną do rozpoczęcia wyprawy wojennej. Dolcino nie mógł jednak dłużej zwlekać, bo z jednej strony lud się już niecierpliwił, z drugiej zaś sprawa nabierała rozgłosu i groziło niebezpieczeństwo, że wrogowie go uprzedzą i zdławią powstanie w zarodku. Dolcino nie miał więc ani chwili do stracenia. Musiał co rychlej rzucić hasło:

— Do broni!

A hasło to zbudziło głośny oddźwięk w Alpach Piemontu.

Powstanie chłopskie.

Chłopi uzbrojeni w kosy, halebardy, włócznie, łuki — baby i dzieci wystrojone odświętnie — wszyscy mieszkańcy wioski wylegli na gościniec. Wszyscy byli w gorączkowym napięciu oczekiwania. Wreszcie chłopak, który sobie na wysokiej skale, zwieszającej się nad drogą obrał punkt obserwacyjny, zawołał:

— Już jadą!

Żywiej zabiły serca, a gdy z za zbocza góry ukazał się zbrojny oddział, zabrzmiał ze wszystkich piersi potężny okrzyk:

— **Evviva!**

— I tysiączne echo odbite od gór okolicznych, powtarzało:

— Evviva!

A mąż jadący na czele oddziału zbrojnego kapeluszem kłaniał się wiwatującym go z uniesieniem chłopom, którzy mu się naprzeciw rzucili, odkrywszy głowy. Zatrzymał konia i dał znak ręką, że chce mówić. Okrzyki umilkły, a on rzekł:

— Witajcie bracia mili sercu memu, którzy przychodzieło służyć świętej sprawie ludowej. Jan Dolcino, na którego tak długo czekaliście. Przybywam walczyć o wasze swobody, o wasze prawa; przybywam, by zdruzgotać rządy Antychrysta i wyzwolić cierpiącą ludzkość! Dziś nie potrzeba się nam już oglądać na żadnych sprzymierzeńców! o własnych siłach lud zwycięży! Oto patrzcie: rzesza moja liczy już około 3,000 ludzi uzbrojonych. Do Braci Apostolskich, którzy pierwsi chwycili za broń, przyłączyły się całe masy chłopów. Zrzucimy wasze jarzmo! A teraz nowi towarzysze, zanim wstąpicie do szeregów, złóżcie przysięgę na wierność sprawie!

Dolcino dobył miecza. W tejże chwili podjechała ku niemu konno Małgorzata, w lśniącym pancerzu łuskowym i srebrzystym hełmie z czerwonym piuropuszem, majestatycznie piękna i miecz swój skrzyżowała z mieczem Dolcina. Nad nimi powiał sztandar duży, purpurowy, nad którym Małgorzata w latach wygnania wyhaftowała złotem godło Braci Apostolskich: cierniową koronę. W półkolu za nimi ustawiła się ich zbrojna drużyna, a pod skrzyżowanymi mieczami stanął mnich Gioanni, Franciszkanin. W jednej ręce dzierżył wysoko krucyfiks mosiężny, w drugiej zaś pergamin, z którego odczytywał rotę

przysięgi. Powtarzali ją chórem nowozaciężni chłopi, którzy naprzeciw uklękli.

— Przysięgamy, że nie opuścimy szeregów apostolskich, aż nie zostanie obalone panowanie rzymskiego Antychrysta...

...i aż nie będzie ustanowione królestwo sprawiedliwości i równości...

...a ktoby wcześniej sprawy świętej odstąpił, ktoby tchórzostwem lub zdradą splugawił swe sumienie, ten nie zazna spokoju na ziemi, ręka prawa mu uschnie i trąd toczyć go będzie i zginie w męczarniach...

— Amen — rzekł Dolcino uroczyście i wtedy z piersi całej drużyny zabrzmiała prosta, a potężna pieśń wiary; modlitwa do Ukrzyżowanego o zwycięstwo dobrej sprawy — hymn Braci Apostolskich.

Gdy pieśń przebrzmiała, rozległa się krótka, ostra komenda, szeregi się uszykowały do pochodu i ruszyły do wsi. Przodem jechał Dolcino na czele oddziału jeźdźców pancernych, dobrze uzbrojonych; następnie jechała na białym rumaku Małgorzata z Trenk, za którą maszerował oddział zbrojnych kobiet, zamykały zaś pochód piesze oddziały kosynierów i łuczników. Przed Małgorzatą baby i dzieci poklękały, jakoby przed świętą, taki blask jakowyś majestatu bił od niej, taki płomień zaziemski gorzał w jej oczach.

We wsi stanął Dolcino ze swoimi ludźmi obozem dla wypoczynku. Nazajutrz wyruszył dalej. We wszystkich wsiach doliny Sezji witali go chłopi jak zbawcę i tłumnie przyłączali się do niego. Był to jeden wielki pochód tryumfalny. Ale niedługo zabawił Dolcino w górach Piemontu. Wkrótce ruszył w niziny na czele zbrojnego hufca, który już liczył około 4,000 ludzi.

Pewną nocą zbliżyli się do twierdzy Gattinara niedaleko Vercelli. Noc była ciemna i dżdżysta. Część wojska swego zostawił Dolcino w lesie, a z częścią podszedł

tuż pod wały. Z twierdzy nie spostrzeżono ich, widocznie straże spały, nie przeczuwając nic złego.

Dolcino z trębaczem podjechał pod bramę. Ozwała się trąbka.

(Dokończenie nastąpi).

---o---

ELLEN KEY: SZTUKA I SOCJALIZM.

Nieraz słyszy się zdanie, że jedynie tylko bogactwa skupione w rękach niewielu, pozwalając na rozwijanie się przepychu, są koniecznym warunkiem powstania wyższej kultury wogóle i kultury artystycznej w szczególności. Gdyby tak rzeczywiście było, należałoby — dla dobra ludzkości, w imię jej braterstwa — rękę odrąbać, co tworzyć chce piękno, oczy wyłupać, co tak za przepychem tęsknią. Lecz kłamstwem jest, by zbytek był koniecznym warunkiem rozwoju cywilizacji. W Atenach, w tym rozsadniku kultury europejskiej — domy prywatne odznaczały się skromnością, zato gmachy publiczne otoczone były przepychem. Natomiast Rzym wyraźnie pokazał, że zbytek, zadawalając sztucznie wyśrubowane potrzeby jednostek, bynajmniej się do rozwoju prawdziwego poczucia piękna nie przyczynia. Poczucie to wymaga zaspakajania w sposób celowy i właściwy rzeczywistych potrzeb człowieka. Goethe, wielki poeta niemiecki, a jednocześnie człowiek rozkochany w pięknie, twierdził zawsze, że zbytek służy tylko bezmyślności. O sobie mówił, że żywotność i energia jego zmniejsza się w otoczeniu zbytkownym. Intensywność (napięcie) odczuwania piękna pozostaje często w odwrotnym stosunku do nagromadzonych przez jednostkę bogactw. Starożytni mawiali: „chcesz mieć niewolników, użyj muzyki”. Rozwijanie wyłącznie zmysłu estetycznego, bez względu na właściwości umysłu i charakteru osobnika, nie wpływa na

ukształtowanie się pełnej indywidualności. Przesubtelnienie kończy się zawsze degieneracją, która tylko reaguje na brutalne podniety zmysłowe. Ani zbytek, ani nędza nie są odpowiednim gruntem dla rozwoju kultury.

W społeczeństwie, w którym nikt nie mógłby się otaczać szablonowym zbytkiem, musiałoby powstać na jego miejsce piękno prawdziwe, odpowiadające rzeczywistym indywidualnym upodobaniom jednostek. Dopiero wówczas mielibyśmy warunki dla zapanowania estetyki w życiu, gdyby każdy robił to, do czego ma zamiłowanie; gdyby przestawał z tymi tylko, z którymi łączą go nici sympatji; gdyby każdy zakątek mieszkania zajęty był sprzętami, odpowiadającymi gustowi i usposobieniu ich właściciela; gdyby każdy był oceniany nie według tego, co posiada, lecz według tego, co do ogólnej skarbnicy kultury ludzkiej dodać jest w stanie.

Lecz nawet w tych warunkach nie każdy potrafiłby sobie życie pięknym uczynić. Gdyby nagle znikł ciążący na większości ludzi ucisk ekonomiczny, to i tak zostałyby jeszcze przyczyny, utrudniające, a może uniemożliwiające zapanowanie ogólnego szczęścia na ziemi. Pozostałyby jeszcze walki, powstające w samym człowieku pomiędzy jego instynktami i poczuciem obowiązku naprzykład, lub pomiędzy potrzebami jednostki i społeczeństwa. Nowe warunki stworzyłyby napewno nowe cierpienia. Możliwą jest nawet rzeczą, że ludzie, zajmując się mniej walką o byt, — więcej oddawaliby się swym cierpieniom. Cierpienia te jednak nie odznaczałyby się taką wulgarnością, jak większość cierpień dzisiejszych, nękających ludzkość, z powodu trudności opędzenia głodu.

W przyszłym ustroju nie byłoby życie skończonym, idealnym. Lecz ustrój ten jest koniecznym etapem w kulturalnym pochodzie ludzkości.

Z historji wiemy, że w pewnych momentach, gdy część społeczeństwa mniemała, że naród chyli się ku u-

padkowi, w rzeczywistości nie upadł on, lecz stał przed nową erą swego rozwoju. Ci zaś, którzy ten postęp przyspieszali, uważani byli za burzycieli.

Gdy w Rzymie któryś z filozofów przemawiał za zniesieniem niewolnictwa, gdy odważny kapelan możnego pana feudalnego zwracał mu uwagę, że poddani w lepszych warunkach życiowych — lepiej pracować mogą, lub gdy w jakimś arystokratycznym towarzystwie francuskim 18 wieku ktoś podniósł kwestję praw człowieka — czyliż odpowiedź nie była zawsze jednaką?... Kultura ludzkości musiałaby ucierpieć, gdyby wszystkie reformy społeczne wprowadzone być miały. Kulturę ludzkości indentyfikowały klasy posiadające z własnym interesem. A jednak niewolnictwo zniesiono, zależność chłopa od feudała znikła, a czyż cywilizacja na tym ucierpiała? Przeciwnie za każdym razem nowe siły i nowoodkrywane skarby oddawane były na usługi kultury. Doświadczeniem historji nauczeni, nie mamy żadnego powodu przypuszczać, by nowe przemiany w ustroju społecznym nie miały prowadzić ludzkości na coraz wyższe szczeble rozwoju.

Dwaj malarze dali temu obrazami swymi wyraz, jak jest i jak być może.

Guido Reni w „Aurorze'' przedstawił boga słońca, w otoczeniu dziewic, symbolizujących godziny, które dokoła niego wesoło lecz z poważną gracją tańczą.

Spółczesny nam artysta, Anglik — Walter Crane uzmysłowił bieg godzin w teraźniejszości jako szaloną gonitwę koni, smaganych przez woźniców.

Dopiero wówczas, gdy czas upływać nam będzie, jak to przedstawił malarz renesansowy, wtedy będzie warto żyć dla samego piękna życia.